

TARNOVIANA

z księgozbioru
Witolda Gryła

DLA MBP W TARNOWIE
PRZEKAZAŁA W DARZE
CÓRKA MAŁGORZATA
KĄDZIOŁA W 2007 ROKU

WYSE-CORPORATION

ULANA.

LISTA

Prenumeratorów na dziełko

pod tytułem:

WSPOMNIENIE UŁANA

z r. 1831.

przez

Wojciecha Hojdzńskiego.

1. W. x. Sanguszko	1.	25. Mrozowski	1.
2. Załuski Jener. w. p.	3.	26. Alojzy Terk	1.
3. Wybranowski	1.	27. Hilary Gilg	1.
4. Lanskoroński	1.	28. Anast. Mikuszewski	1.
5. Marcelli Zasowski	1.	29. Józef Konrad	1.
6. Choraczek cukiern.	1.	30. Jakubowskamatka	1.
7. Sztummer	2.	31. Kozanowski	1.
8. Wincenty Kasznica	1.	32. Leon Walter	1.
9. Henryk Tarnawiecki	1.	33. Franciszek Pszorn	1.
10. Ferdynand Knecht	1.	34. Alojzy Szwartz	1.
11. Feliks Boczarkiewicz	1.	35. Franciszek Podolski	1.
12. Franc. Bielawski	1.	36. Fischer	1.
13. Adolf Wicki	1.	37. Zyg. Rosencweig	1.
14. Józef Chrzanowski	1.	38. Antoni Twardowski	1.
15. Mich. Wiesiołowski	1.	39. Czechowska	1.
16. Fran. Wiesiołowski	1.	40. Franci. Bytomski	1.
17. Stefan Leśniowski	1.	41. Molendowska	4.
18. Jan Dobrzański	1.	42. Ilming.	1.
19. E. Wojciechowski	1.	43. Skoreczyńska	1.
20. Wład. Skarzyński	1.	44. Mirowski	1.
21. Franc. Lebowski	1.	45. Jaszczurowski	1.
22. Floren. Gojdzinska	1.	46. Fochtowa	1.
23. Jan Chronikowski	1.	47. Moliszewski	1.
24. Franc. Jakubowski	1.	48. Rybka	1.

SPROSTOWANIA.

49. Dorau.	3.	71. Krzyst. Beackok	1.
50. Jan Stysiński	1.	72. Anas. Rusinowski	6.
51. Adam Gorczyński	1.	73. Woj. Zarlikowski	1.
52. Hanicki	1.	74. Joa. Miecznikowski	1.
53. Robacki	3.	75. Winc. Butrymowicz	1.
54. Jan Krzyżanowski	1.	76. Zank	1.
55. Anderle	1.	77. Józef Miesikiewicz	1.
56. Koziobrodzki	1.	78. Wozniakowski	2.
57. Wróblewski	1.	89. Rüdmliller	1.
58. ks. Paszczyński	1.	80. Juzef Heltzel	1.
59. Feliks Głębocki	1.	81. Krzystof Hönig	1.
60. Feliks Stobnicki	1.	82. Stefan Kociuba	1.
61. Piotr Krzyniecki	1.	83. Kummer	2.
62. Karol Jetty	1.	84. Józef Płocki	1.
63. Stanisław Garlicki	1.	85. Józef Chaberski	1.
64. Wojcikowski	1.	86. Józef Zakrzewski	1.
65. Anto. Butrymowicz	1.	87. Antoni Lewicki	1.
66. Franc. Bernatowicz	1.	98. Feliks Wojcicki	1.
67. Iwanicki	1.	99. Fer. Chałatkiewicz	1.
68. Grywiński	1.	90. Józef Pniewski	1.
69. Błaszczykiewicz	1.	91. M. Pieterkiewicz	1.
70. Józef Wodczyński	1.	92. Geno. Kucharska	1.

Strona 3. wiersz 2. z dołu: wiersze opuszczone,
Szwadron — kiedy krzyknie — „hurra”.
Lub jak w pustyni Sahara
Twe lica zatknij do ziemi.

Strona 14. wiersz	7	z dołu: zamiast jakby czytaj jak gdy by.
— 15. —	4	z dołu: zamiast pani czytaj panie.
— 21. —	12	z góry: zamiast Byśmy czytaj Abyśmy
— 23. —	9	z dołu: zamiast niedba czytaj nie niedba
— 25. —	11	z dołu: zamiast Widząc czytaj Ja widząc
— 29. —	3	z góry: zamiast roześmiali czytaj roześmiali
— 29. —	9	z dołu: zamiast kilkunasty czytaj kilkunastu
— 32. —	13	z dołu: zamiast woli czytaj wolę
— 34. —	5	z góry: zamiast Tu z czytaj Tuż
— 35. —	14	z góry: zamiast na całym czytaj w całym
— 35. —	7	z dołu: zamiast gruszcę czytaj gruszy
— 36. —	3	z góry: zamiast snadną czytaj snadno
— 39. —	1	z dołu: zamiast ośm czytaj osiem
— 41. —	4	z góry: zamiast cóż było czytaj cóż by było
— 41. —	13	z góry: zamiast jeźli czytaj jeźli
— 41. —	7	z dołu: zamiast przbił czytaj przybił
— 42. —	4	z dołu: zamiast widziałem czytaj widziałam
— 44. —	11	z dołu: zamiast żołni czytaj żołnierze
— 44. —	9	z dołu: zamiast zdr czytaj zdrowy
— 44. —	8	z dołu: zamiast wni czytaj wnioskach
— 44. —	2	z dołu: zamiast brzosbu czytaj brzasku
— 46. —	4	z góry: zamiast i panią czytaj i z panią
— 46. —	10	z dołu: zamiast czasem czytaj czasem
— 46. —	8	z dołu: zamiast duże czytaj dwie
— 48. —	4	z góry: zamiast przysługę czytaj przysługę
— 48. —	11	z góry: zamiast ceraty czytaj rabbaty
— 48. —	13	z dołu: zamiast pachwy czytaj pochwy
— 49. —	1	z dołu: zamiast marsze czytaj marsza
— 50. —	10	z dołu: zamiast tajeny czytaj tajony
— 51. —	9	z góry: zamiast minę czytaj miną
— 52. —	6	z góry: zamiast nas wiedli czy. nas w wiedli
— 52. —	4	z dołu: zamiast stronę czytaj stronę
— 53. —	1	z góry: zamiast ochocze czytaj ochoczo
— 53. —	3	z góry: zamiast sposoczę czytaj sposoczę
— 54. —	11	z góry: zamiast czterch czytaj czterech
— 55. —	1	z dołu: zamiast ich czytaj jeich
— 57. —	5	z dołu: zamiast A ja czytaj I ja
— 58. —	1	z dołu: zamiast nas czytaj nasz
— 59. —	8	z góry: zamiast Al czytaj Ale
— 60. —	11	z góry: zamiast tego czytaj tego
— 60. —	12	z dołu: zamiast I taki czytaj I tak
— 61. —	6	z góry: zamiast tuż za lasem czytaj niedalek o
— 61. —	14	z góry: zamiast nik przecz czy. nikt przecz y
— 63. —	6	z góry: zamiast I to czytaj I to za
— 64. —	11	z góry: zamiast Jak czytaj Tak

U L A N A

z r. 1831.

NAPISANE WIERSZEM DOWOLNYM

PRZEZ

WOJCIECHA HOJZIŃSKIEGO.



W TARNOWIE,

drukiem i nakładem Mink & Schmiedehausen,
dzierzawców Drukarni J. Karnstaedta.

1849.

U L A N A

1881

WYDAWCA: WILHELM DOWOLNY

PAWEŁ

WROCŁA HODNICKI



W TARNOWIE

Wydawnictwo Drukarni i Księgarni
Wrocławska Drukarnia i Księgarnia

1881

W S T Ę P.

O młodzięczy mój wieku,
Jakżeś ty szybko upłynął;
Zdaje się — że to wiatr winął,
A jaka odmiana w człeku!

Gdzieżeś o chwilo wesola,
Kiedy chorągiewek krocie,
Zewsząd wiewało do koła,
Konie jakby murem stały,
Ludzie w srebrze albo w złocie,
W promieniach słońca jaśniały.

Każden się śmiał, każdy bawił,
Ów konia pieścił, lub poił,
Ten bratnie ściskając dłonie,
Sucharem z wódką się dławił,
Ów z dziewczyną figle stroił,
Co mu wdziękiem róży płonie.

W tém jak gdyby z nieba spadł
Pędzi szybko mąż na koniu;
Każdy stojąc, stroi minę,
Suchar w torbę, wódka w tył,
Ów musiał puścić dziewczynę,
Mrucząc: «żebyś diabła zjadł,

To kapitan sam przybył,
Sformować szwadron na błoni. —

I — grzmiące «bacznosc» zawoła:
Już wszystko milczy do koła.

Każden koń, do góry uszy,
A żołnierze w górę broń.
Drugi głos — otoż mój panku,
Na ten, szwadron klusem ruszy,
Opuszcza szybko błon,
I trzyma lance do flanku.

Patrz na nich: widziałeś czasem
Jak ma wielka burza być,
Jak to obłok czarny płynie,
I w tej chwili w tej godzinie,
Żaden wiatr nieruszy lasem.
Tak wszystko przestało żyć;
Że zaczawszy od owadu,
Aż do wielkości człowieka,
Nieruchomo wszystko siedzi,
Tylko martwem okiem sledzi,
Lub smutném sercem docieka
Czarnego obłoku śladu.

A ten, zdala wszystkim w oko,
Rzuca z pary bałwanami.
Czasem mignie, białym ogniem,
Zegrzmi w obłokach wysoko,
Lub przeraża nas jękami,
Z grzmotu nad nim z grzmotu pod nim.

Jęczy, chuczy jakby chciał,
Zdala straszyc lub zabijać,

Jużto piana się odzieje,
Jakby ze wściekłości miał,
Ognistym węzem się zwiąć,
To znów czarną parą bucha,
Ten życia traci nadzieje
Kto nań patrzy, kto go słucha. —

To tak, szwadron w swoim pędzie,
Bałwanami kurzu wali,
Cały prochem się okryje,
Od kurzawy ciemność wszędzie,
Aż ziemia z boleści jęczy,
Bo koń podkowami z stali,
Głęboko piersi jęj ryje,
A broń dzikiem dźwiękiem brzęczy.

I pas długi, krwawy wazki.
Wraz z białą wstęgą przyświeca
Oj! to lance jak chrap koński,
Takim ogniem błyszcza grozą,
Jak na chmurze błyskawica,
Złączona z północną zorzą.

A jak wtedy gdy wyrzuci,
Grzmot z łona swojego chmura,
To tak straszliwie zanuci.
Szwadron — kiedy krzyknie — «hurra»

Oj! wtedy zatkaj twe uszy,
Twe oczy zamknij w powieki,

Bo krzyk cię taki ogłuszy,
Niejeden zginie na wieki;
Chyba tylko piosnka stara
Wspomni go kiedy przed innemi.

Byłem ja w takim kłopotcie,
A jednak po dziś — dzień żyję,
Gdy tysiące w ziemi gnije,
Gdy rannych zostało krocie.

I dla tego opowiem wam,
Jedną małą awanturę,
Że prawdziwą szyją mą dam,
Bo dobrze mi jest w pamięci,
Gdyż tak dostałem w niej wskórę
Jakby nieuki studenci.

A każdy wód dobrego zważy
Przyznać że nam tak było do twarzy

Współ jak mówię tak mi stało
Każden miał w maniere prawie
Bodaj w ten dzień jakieś drażli

O P O W I A D A N I E

Sto ośmdziesiąt nas było,
Na koniach, i to w dwa rzędy,
Wszystko się krwawo barwiło,
Bo pas na każdym był wszędy.

Wszyscy byli jakby braty,
Granat mundur, a koń gniady,
Pasowe były rabaty,
Przez pas podobne obkłady.

Szlifa srebrna na ramieniu,
I pas srebrny przez pierś bierzy,
Pałasz szczęka przy strzemieniu,
A koń — swój kark grzewą jerzy.

Na głowie kask zwieszon w prawo,
Na przód polskim orłem pali,
Lanca z chorągiewką krwawą,
Błyszczczy w górze grotem z stali.

Dość że dziewczę na bal jaki,
Tak się pięknie niewystroi,
Jak ułańskie chłopaki,
Każden gdy w szeregu stoi.

A każdy gdy dobrze zważy.
Przyzna, że nam tak było do twarzy.

Więc jak mówię tak my stali,
Każden miał w manierce prawie,
Bośmy w ten dzień wódkę brali,
Pamiętam dziś, jak na jawie.

ROZKAZ.

Kapitan rzekł: «Poruczniku»
—Jestem kapitanie—
—Weźmiesz 40 ludzi, staniesz na przesmyku.
Tak rozpocziesz to działanie:
Wiesz, nad tym a tym strumieniem,
Stoi miasto dość szerokie;
Ulice bite kamieniem,
Z boku wąwozy głębokie,
Nie zostaj się tam obozem
Gdyżby cię podchwycić można,
Nieprzyjacieli za przywozem,
Więc wedetę miej ostrożną,
Okoliczne wioski zwiedź,
Niepatrz gdzie dziewczęta ładne,
A co noc do miasta przyjdź,
Rapporta składaj dokładne
I tam dotąd ciągle stać,
Póki niebędzie rozkazu,
A koniom wygodę dać,
Tutaj nieprzychodzi nirazu.
Dziesięć mil masz do przebycia,
Oszczędzaj koni — i życia.

Na kapitańskie rozkazy,
Koniowi dałem ostrogę
Szablą skinałem dwa razy,
I — dalej w drogę!

Pluton na przód! dyrekcyja na prawo!
Krzyknąłem: to mil nie wiele,
Dziesięć mil, to bagatela,
Lecz słońce zeszło nam krwawo!

I jakiś smutek osiadł nam serce
Że tu zostają koledzy,
A my jak gdyby w jakiej poniewierce —
Niebędziem o nich mieć wiedzy.

I każdy z nas w milczeniu został
Jak gdyby miał tracić życie,
Jakby się z ojcem lub matką rozstał,
Chciałby był płakać jak dziecko.

Lecz miałem diabła, nie chłopca,
Podoficerem litwina
Po nazwisku, Arakopa,
Wesołego jak dziewczyna.

Nigdy nie znał co się smucić,
Choćby niejadł przez dni cztery
To nigdy nie przestał nucić,
A przytém, był chłopak szczery.
Jak w manierce pełno było,
O smutku ani się śniło.
Więc jak widział nasze smutki,
Krzyknął «Wiarusy do wódki!»

Niech każdy w kubek naleje,
Palnie aż oko zbieleje. —

Magiczne były to słowa.
Bo za jego poruszeniem
Wszystkich schyliła się głowa,
Patrzac flaszkę za ramieniem.

I tak wkrótce wszystkich dłonie
Wzniosły manierki nad skronie
I krzyknęli — «Wiwat chłop!
Nasz wesoły Arakop!»

I zaraz sześciu od przodu,
Już przy wzbudzonej ochocie
Nieczyniąc wiele zachodu,
Zaspiewali o Dorocie.
Tak wesoło szliśmy dalej
I piliśmy i śpiewali.

Tego samego wieczora,
Ujechawszy trzy mil drogi,
Przyszlśmy w nocy do dwora,
A dwór ten nie był ubogi.

Więc uprosiliśmy pana,
Gdyż był hojny i łaskawy,
By kazał dać owsa, siana,
I dla nas jakiej tam strawy.

A nazajutrz bardzo dośladnia,
O ile paniętać moge,

Gdy niebios błysła pochodnia,
Ruszyliśmy w dalszą drogę.

Już my tam przemaszerowali,
Gdzie rzeka warczy nurtami
I spostrzegli nieco dalej
Nasze wojsko po przed nami.

By go zaś widzieć nie było,
Z po-za rzeki z tamtej strony,
Za miasto wszystko się skryło
Bez żadnej prawie obrony.

Lecz pod wzgórek była wiele,
Ciągło z jakimiś statkami
Za rzeką byli — nieprzyjacielem,
Rozłożeni obozami.

Gdy na wzgórze było wyszło,
Chłopstwo, coś tam kierowało,
I wraz dziesięć ogni błysło,
W powietrzu strasznie zagrzmiało.

Nim się wrogi obaczyli,
I zdążyli skiełzać konie
Nasi drugi raz palnęli
I krwią zalało się błonie.

A my po-nad rzeką stali
I to wszystko rozważali,
Wiele z tamtej strony padło,
To wiedzieć nie można było.

Lecz jak stalowe zwierciadło
Całe się błonie czerniło,
Bo jak my widzieli sami
To strzelano granatami;
Wtém jakaś osóbką mała
Przyszła do nas i mówiła,
Że ta awantura cała,
Jenerała figlem była.
Ten — chcąc podejść tamtych zdradą
Żołnierzy przebrał w pastuchy,
A bydło spędził gromadą,
I tём zakrył całe ruchy.
Bo jak już mówiłem wyżej,
Gdy na wzgórzu wszystko było
Bydło rozpędzonó szerzej,
I dziesięć armat ryknęło.
A my się z tego cieszyli,
Bo się zawsze żołnierz śmieje,
Kiedy jedni drugich zbili,
Lub gdy z tamtych krew się leje.
Jednak gdy działa z góry się toczyły,
I czarna z paszczy posoka im ciekła,
Takie mi myśli po głowie się wily,
Że ta broń wyszła prościuténko z piekła.
Gdy już w dolinę zstąpili,
Ciesząc się odbytą sprawą,
My się z niemi rozłączyli,
Oni na lewo, my w prawo —
I bez przypadku żadnego
Przybyłem pod miasto owe,
Co było celem wysłania mego,
Miasteczko piękne i zdrowe,
A pod nim rzeka się toczy,

I do drugiej wielkiej wpada
W około widok uroczy,
Błonia, bydeł pasą stada;
Urodzaje zewsząd śliczne,
Łany psennym kłosem złocą.
Zewsząd wioski okoliczne,
Pięknemi domki migocą.
Podług rozkazu danego,
Żołnierzom dałem kwatery,
Tam trzech, pięciu, albo cztery,
Z sobą zabrałem jednego; —
Z tym wyjeżdżałem na zwiady
Po pobliskich wiosek dworach,
Tu proszono na obiady,
Tam bawiłem po wieczorach,
A zawsze jednak niezmiennie,
Rapport składałem codziennie,
Bo trzy mile za mną w tył
Znowu inny pluton był. (*)
Lecz pomimo téj swobody,
Jakoś tęskno sercu było,
Człowiek jednakowo, młody,
W dzień wdychał, w noc się coś śniło.
Raz rzekł mi żołnierz: mój panie,
Czemu pan tak tęskni, nudzi?
Tu ledwie wójta zastanie,
Poszukajmy innych ludzi. —
— A cóż-to wójcia nie ludzie?
— Juści ludzie — ale wiecie,
Że po takim naszym trudzie,
Nie grzech zabawić się przecie.

(*) W Czersku Jazda Lubelska.

— A jakże-to? — ot, tak panie,
Jest piękna panna w tym dworze,
Długo ja patrzyłem na nią,
Lecz wszystko mi na przekorze,
Ja żołnierz — figura mała —
A zaręczam wszystkiem pana,
Że ta możeby nie chciała
I samego kapitana. —
— I cóż dalej? — Cóż-by było
Tylko jedźmy tam w gościnę;
Tam się nie będzie przykrzyło,
Bo wesolutką ma minę.
A podobno nawet mamy,
Do téj wsi za chleb palety,
To się tam z niemi załgamy,
I pan poznasz te kobiety. —
I prawda, bo przez dni pare,
Jeżdżąc po wsiach i folwarkach,
Zastałem lub habsko stare,
Lub kucharczysko przy garnkach.
A zatém dalej do koni!
A daleko to od miasta?
— Ćwierć mili tylko jest do niej. —
— To siadaj na koń — i basta.

Chciałem sobie jechać wolno,
Lecz klacz jakby wiedziała,
Tak się zrobiła swawolną,
Że najmniej, kłusem iść chciała.
Dla tego po małej chwili,
W lansadach i ciągłym kłusem,
Przebyliśmy tę ćwierć mili,
I stanęli przed lamusem.

Przed lamusem, stał pijany
Jakiś jegomość w surducie,
Łeb zjierzony — w ustach piany,
Noga bosa — druga w bucie,
— Hej! hułany! jak się macie!
Wolał, a czego to chcecie?
— Oto, mój kochany bracie,
Droge do dworu, czy wiecie? —
— A to czemu? krzyczał znowu,
Z tamtéj strony od figury,
Gdy wyjedziecie z parowu,
Zaraz będą dworskie mury. —

I ruszyliśmy wprost drogą,
Już nie galopem lub kłusem,
Lecz tylko noga za nogą,
Tą razą klacz szła z przymusem.

A serce moje tak biło,
Jak pierwszy raz przed armatą,
Widziałem jak mi się śniło,
Dziewicę — piękną — bogatą,
Lekką, wesołą, nadobną,
Z czystością duszy anielską,
Wdziękiem do niebian podobną,
Słowem, istotę nadziemską.
Kiedy stanąłem przed bramą,
Zapytałem służącego:
Czy zastałem panią samą?
— Jest pani do usług jego. —
Klaczy klasnąłem nad uszy,
Dęba stanęła w uporze,
A potem, galopem ruszy,

I otóż jestem przy dworze.

Krew się we mnie prawie ścina,
Pot wystąpił mi na skronie,
Jak mię też przyjmie dziewczyna,
Już ordynans trzyma konie,
Trzeba wnijsć — cofnąć nie mogę,
Odjechać — to żadną miarą.
Wchodzę — bodajem wywinał nogę,
Wszak ja zastał babę starą!

A kiedym ją okiem zmierzył,
Oniemiałem z zadziwienia,
Jakby grom przy mnie uderzył,
Ten żołnierz to bez sumienia,
Jabym nie zadrwił tak z nikiem,
Widząc go tęsknym i smutnym,
Jak on z swoim porucznikiem,
To trza być łotrem wierutnym.
Bo widząc wdzięki żądane,
Myślałem, jakim pocziwy,
Że już konwulsyi dostanę,
I to nie byłoby dziwy!
Gdyż oczy — znanie wy oczy?
Jak bielmem żrenica zajdzie,
A powieki krew otoczy,
Któryż z was piękniejsze znajdzie?
I policzki, wargi, broda,
Jerzą się włosy siwemi,
I z tabaki żółkła woda

.....
I taką farbą przyjemną,
Nos cały z wierzchu okryty,

To taka piękność przedemną,
Ja stałem przed nią jak wryty.

W tém rzecze: « Witam cię panie,
Cóż pan przynosisz nowego? »
I przecież to powitanie
Zbudziło mię ze snu mego.
Rzekłem: — może dla pani
Nieprzyjemną jest nowina,
Bo przynoszę palet dla niej,
Ale to nie jest mą winą. —
— Ach! niech się pan nie tłumaczy,
Ja jestem w wyznaniu szczera,
To nie może być inaczej,
Ludzi zabrała cholera,
Po 12tu na dzień pada,
I któż ma dokończyć żniwa?
Cała zginęła gromada,
Ja — zupełnie nieszczęśliwa.

I po twarzy poranęj
Łza za łzą się potoczyły,
Z boleści dotąd nieznanęj
I mnie łzy w oczach stanęły.

Lecz zaraz zatabaczoną
Chustką obtarła swe lica,
Bo jakby z nieba spuszczoną,
Przybyła jakaś dziewica.

A ja w pośród uczuć boju,
Znowu w zdumieniu nie małym

Znowu na środku pokoju,
Bez poruszenia zostałem.

O Boże! jakież to oczy,
Dziwne uczucie w mnie lały,
I blask różowy jój lica,
Którym obficie zatlały,
Sprawiały widok uroczy
Co go rzucała dziewica.
Ah! wszystko co jest tajnego,
W srebrzystém świetle księżycy,
Kiedy wśród nieba czystego
Swoją nas tarczą zachwyca,
Albo podczas letniej pory;
Jego igrają promienie,
Pomiędzy lipy, jawory,
We ciche i głucho milczenie;
A ich liście i konary
Drżą pod uściskiem promyka,
Gdy przez pola i przez jary,
Brzmi lube pienie słowika.
Jak szczęście radość dziecinna,
Wesołość w nadziei technieniach,
Dziewicy, która niewinna,
W słodkich się gubi marzeniach,
I szesnaście lat licząca,
Patrzac na swą matkę siwą,
Śpiewa, wdziękami błyszcząca,
Bo myśli, że jest szczęśliwą.
Gdyż słońce złoci jój losu bramy,
A kwiaty, to dla niej wznoszą
Swoje kielichy z balsamy,
I z lubością i rozkoszą

I wszystko co jest tajnego
W myślach — w które nas wtrąca,
Błysk gwiazd obszaru wielkiego,
Pełniący swój bieg bez końca;
To tak jój postawa cała,
We mnie te uczucia lała.

I z twarzą wdziękiem błyszczącą
Mówiła dla mnie nieśmiało,
A mnie tak było gorąco,
Jakby rozpalone działo.
— Zkądże Pan do nas przybywa?
Rzadko tu widać rodaka,
Jabym była tak szczęśliwa
Wiedzieć gdzie bitwa jest jaka? —

— Jeżeli pani rozkaże
To ja ich opowiem kilka;
— Ah! jeżeli się nienarażę
Miłą mi będzie ta chwilka,
Kiedy się dowiem od pana,
Z nieprzyjaciołmi naszemi,
Gdzie kiedy była wygrana
Lub jak byli pobitemi. —
I nibyto za nagrodę
Snieżną mi podała rączkę;
Jak gdybym w wrzącą wpadł wodę!
Gdym ujrzał — ślubną obrączkę.
W oczy jój tylko spojrzałem,
I ona mię zrozumiała;
Bo po przestanku małym
Z całym się wdziękiem rozśmiała,
A potem rzekła te słowa:
— Pan mię może panną sądził?
Ah! niechcę abyś pan zbłądził,

Ja jestem — Kapitanowa.
 Mój mąż w wojennym zamęcie,
 Zginął! — w czwartym regimencie!
 I łza zabłysła w jej oku,
 Łza w oku pięknej kobiety,
 Zabija mocą uroku,
 Jakby stalone bagnety.
 Dla tego z całym zapalem,
 Wziawszy za jej śnieżną rączkę,
 Serdecznie ucałowałem,
 I paluszki — i obrączkę.
 I w milczeniuśmy zostali.
 Ona przy babce usiadła,
 A ja od nich nieco dalej, —
 Ta zaś, jakby nas odgadła.
 — «Niemartw się kochane dziecko.
 Rzekła: kto dla swojej ziemi,
 Niesie krew i swoje życie,
 Szczęśliwszy jest przed innemi.» —
 Lecz przez jej rzęsy spuszczone,
 Można było widzieć oczy
 Na jedno miejsce zwrócone.
 Tracące swój blask krystalu,
 Jak kiedy śmierć nam zaskoczy,
 A cudnej piękności głowa,
 Opadła na piers pomału,
 Jam nie mógł przemówić słowa.
 Piersi i gardło i czoło
 Jakaś mi ciężkość zapechała,
 Milczenie było wokoło,
 A ona się — rozplakała!
 Ja ciśnien myśli nawalełem,
 Prawie ruchem konwulsyjnym

Z miejsca mego powstałem
 Chcąc zagadnąć o czém inném.
 I w tém szczerkałem palaszem,
 Ona wzbudzona w téj chwili,
 — Wybacz pan cierpieniom naszym
 Myśmy tak szczęśliwie żyli,
 Że pomimo całej chluby,
 Któram po mężu doznała,
 Nieżyczyłam jego zguby.
 Ta tak bolesną się stała,
 Że trzeba szczególnej chwili,
 Byśmy z babką obiedwie,
 Tę boleść w sobie stłumili,
 Z której już żyjemy ledwie. —
 Już to w naturze mój było,
 Że nawet w nieszczęściu całym,
 Rzadko serce z smutku biło.
 Lecz cudzego niecierpiałem.
 Dla tego widząc jej mękę,
 Z miejsca mego powstałem,
 A uprosiwszy o rękę
 Z żalem się z niemi żegnałem.
 A ona rzecze: «Mój panie,
 To już pan odjeżdża w drogę.
 Wieluż żołnierzy zostanie?
 Jeżeli się zapytać mogę?
 — O! niech mi pani daruje,
 Że ich dzisiaj nie zostawię,
 Bo mi ich właśnie brakuje
 Sam jednego już mam prawie. —
 — Ah! wiem do czego pan zmierza
 Pan chcesz dla nas grzeczność zrobić,
 Lecz to nie jest na żołnierza,

Żołnierz służbą zwykł się zdobić. —

— Kiedy tak, to powiem szczerze,

Że dzisiaj odjechać muszę,

Jutro tu stanę w kwaterze,

Jeżeli dalej nie wyruszę. —

— Więc dobrze — to do widzenia;

A ja ukłony czyniłem,

— Niech pan zamiaru nie zmienia,

Będziesz u nas gościem miłym. —

I jak gdyby zagorzały,

Moją klacz znowu dosiadłem,

I jak gdyby pędem strzały,

Do mego miasta przypadłem.

Chociaż się kto spotkał z nami,

Ja pędził jakby szalony,

Żołnierz ruszał ramionami,

I mówił — « On już zmamiony — »

A ja tak szczęśliwy byłem,

Że znowu powiem wam szczerze,

Z radości strasznie się spiłem

Z jakąś szlachtą na porterze!

Nazajutrz żołnierz mi powie:

— « Jakże panie poruczniku,

Pojedziemy gdzie to pan wie?

Może dziś na koniku?

Bo klacz się diablo stęrała,

Gdyż wczoraj niech porwą katy,

Ledwo ziemi dotykała,

Biegliśmy jak waryaty. » —

— Ej! to wszystko nic nie znaczy,

Siodłaj — i niebajdurny wiele

Jeszcze dziś jadę na klaczy,

To diabeł w tém końskim ciele.

Kiedy smoknięcia usłucha,

Pędzi aż ziemia dotyka jęj brzucha.

I znowu po małej chwili,

Z południa około drugiej.

Przebyliśmy tę ćwierć mili,

Przez pola, łąny i strugi.

Kiedy stanąłem przed dworem,

Ma klacz dziwy wyrabiała,

Dęba — to szczupaka dała,

A okna były otworem.

I w oknie widziałem zdrową,

Mą piękną kapitanową.

Kiedy mię rączką witała,

Ah! niezataję że chciałem

Ażeby się dla mnie stała,

Pułkownikiem — Jenerałem,

Bożkiem, świętą, lub aniołem,

Całowałbym jęj nogi

Uderzałbym przed nią czołem

Przed nią — walczyłbym bez trwogi.

Wchodzę — a ona mi powie,

Gdy mi mile naganiała.

— Jak pan nie dba o zdrowie?

Wszak to klacz spieniona cała.

— Ach! pani niewiem dla czego,

Chociaż mnie to bardzo cieszy,

Jak jadę do dworu tego,

To tak bardzo jęj się spieszy.

I od wczoraj już jest taka

Że tu pędzi lotem ptaka.

Oczewiście się zmieszala,

Kiedy jęć w oczy spojrzałem.
Bo się zapłonęła cała,
Ja jęć rękę całowałem
I za każdym ust odjęciem,
Znowu patrzałem w jęć oczy,
I za każdym ust dotknięciem,
Czułem, że serce wyskoczy. —
Ona chcąc przerwać tę mowę,
— «Pójdźmy do fortepianu,
Właśnie mam tu nuty nowe
Jaką piosnkę zagram Panu. —

I grała, a ja się bałem,
Aby tego niespostrzegła,
Że ja nic nieuwagałem,
Choć całą sztukę przebiegła.
Prosiłem aby śpiewała;
Niech sobie tam, kto chce plecie
O szczęśliwym Niebian kraju,
Ja jednak to powiem przecie
Ona mię oczarowała,
Ja więcej byłem jak w raju!...

Babka na nas patrząc z boku,
I nie myśląc prawie wiele
Krzyknęła: «Jak wierzę oku,
Tak idą nieprzyjaciele! —

Choć mię stara tak zagadła,
Ja się nie zmiesział tymczasem,
Pomimo że młoda zbładła.
Pistolety mam za pasem,
Rzekłem: a w Pani domu
Choć w krótkim poznaniu naszym

Nieustąpiłbym nikomu,
Mogę się bronić pałaszem.

Babka się na to rozśmiała,
Widząc mię niewzruszonego.
— Ja Pana zastraszyć chciała. —
Ja rzekłem: — to co innego.

Jednak babka niewiedziała;
Że po swęć niewczesnej sztuce
Bolesną ranę zadała,
Swojęć ukochanej wnuczce
Bo tęg rękę zaraz obie,
Na poręczę krzesła padły,
A lica jak gdyby w grobie,
Strasliwie na raz pobladły,
Ona wspomniała na męża,
Z prawdą się pewno nie minęła,
Myślała że od oreża,
Jak jęć mąż, tak i ja zgine.

Widząc że ją to, boli,
Rzekłem: «przy tak miłym chłodzie
Jeżeli pani pozwoli
To przejdziemy po ogrodzie. —

Oj! wy nie wiecie malarzen
Że nic piękniejszego w świecie
Jak gdy ułan stoi w parze,
Przy najśliczniejszej kobiecie.
Kiedyśmy sli wśród jabłoni
Gdybyście nas tak widzieli,
Z jęć rączką na mojęć dłoni

Nas — byście malować chcieli. —
Widząc że się ciągle smuci,
Chociaż lice już mniej bladło,
Rzekłem: «to się już nie wróci,
Co raz na zawsze przepadło! —
Nagadałem tyle tego,
Że znowu wesołą była,
I wolna od smutku swego
Do dworu ze mną wróciła.

Już cztery dni upływały,
Jak ja tam ciągle jeździłem.
Piersi jednym ogniem tły,
Ogniem tak lubym, tak miłym.
I strony w fortepianie
Zgodniejszemi tony brzmiały,
Oczy na każde spotkanie,
Żywszym płomieniem zatły,
I kwiaty w jój pokoju,
Przy wdzięcznych kwitły odgłosach,
Ozdobą były jój stroju,
W rękach, przy piersi — we włosach.

Raz według naszej umowy
Złączeni wspólnie ramiony,
Szliśmy w szpaler ogrodowy,
Jaśminami ocieniony,
I w tém balsamiczném technieniu,
Usiedliśmy na kamieniu.

I natenczas kiedy ona,
Me szlify stroiła w kwiaty,
Ja kwiat odpiął od jój łona,

I włożyłem za rabbaty.
Potém, z uczuciem wezbraném,
Wziąwszy za jój drobne dłonie,
«Czemuż ja nie kapitanem»
Rzekłem: schylając me skronie.
—Czy to serce porucznika,
Mniejszym uczuciem przenika? —

I na to jój zapytanie,
Prawie utrzymałem siły,
Mówić, już niebyłem wstanie,
Jój oczy w duszy mój tkwiły,
Tym wzrokiem dusza znękana,
Odleciała swoje ciało,
Niewiem, co mi się stało,
Lecz upadłem na kolana!
I zapomniałem czém byłem
Wzniosłem usta do jój czoła,
Ja wtedy jój technieniem żyłem.
W ten moment, — żołnierz mię woła:
—Poruczniku do obrony!
Z tamtej strony od przewozu,
Nadciągnęły dwa szwadrony,
Od nieprzyjaciół obozu! —

Nie więcéj niemówiąc do niej
Rączkę jój tylko ścisnąłem,
—Wiara dalej do koni!
Z rozpaczą serca krzyknąłem.

Widać że ją zdjęła trwoga,
Bo kiedy na koń siadałem,

Ah zostań! zostań! na Boga!
Te jój słowa usłyszałem.

Dwór, kochanka, wszyscy znikli,
Ja mych niezwracając oczy,
Wszystcyśmy na raz umilkli
Pędząc, jak ma klacz wyskoczy
Gdyśmy przypadli do miasta,
Spojrzałem z wierzchołka wzgórza,
Nieprzyjaciół było dwa sta,
Jednak rzeka była duża,
Prom do liny przytwierdzony
Opierał się rzeki biegu,
Nie było innej obrony,
Tylko odciać linę z brzegu,
Było nas tylko dwudziestu,
Reszta różnie po wsiach stali
Trudno waleczyć przeciw dwiestu,
Lecz my się i tak nie baliśmy
Dalej wiara ku obronie!
Z konia zaraz cztery rotę,
Niech obskoczy po za płoty,
Reszta zaś niech trzyma konie!

Jak kazałem, tak też było
Leżeliśmy po za płoty,
A tamtym ani się śniło,
Byśmy przyszli do roboty.
Gdy się ku nam przewozili,
Nasz wesoły Arakop,
Jak się na środek zbliżyli,
Z po za płotu zaraz — hop!

I za jego cięciem szabli,
W moment linę wzięli diabli.

A my się w głos rozśmiali,
Że tamci w trwodze przed nami,
My też z zabawki śmigali,
Doń z karabinków kulami.
I oni nas z broni bili,
Jednakżeś — my z po za płotu,
Więcej zrobili kłopotu,
A oni — nie nie zrobili.

A jak koń kiedy spostrzeże,
Że go słaba ręka trzyma,
Zaraz z miejsca na kiel bieże,
Kark jerzy — rzuca się, zrzymia.
Tak prom nie mając już tamy,
Zakręcił się dookoła,
Jak gdy walczyć tańczyć mamy,
I puścił się w lot sokoła.
A my dawszy kilka szusów
Pobiegliśmy ku tej stronie,
Gdzie kilkunasty wiarusów
Nasze trzymało nam konie.

A teraz wiara do góry!
Nie dać pardonu nikomu,
Trzeba robić w promie dziury,
Sześciu niech strzela do promu.

Lecz i to nie trzeba było
Bo wszyscy w wodę skakali,
Co tylko na promie żyło,

Sami się ranni zostali.
A my zdrowych ciągle prali,
Nieczując w tém żadnej winy,
A oni na nas wołali:
— «Oj! wy łotry! sucze syny!
I różne inne wyrazy,
Których niepowiem broń Boże!
Nawet dla ucha obrazy,
Każden się domyslić może
Na tém się więc zakończyło,
Żeś my dwa konie zabrali,
Ich się kilku utopiło,
I prom gdzieś kaci porwali. —

Gdyśmy do miasta przybyli,
Mówili obywatele,
Żeśmy najgorzej zrobili,
Bo ich przyjdzie bardzo wiele.
A nam tam diabli do tego,
Czy ich mało, czy ich wiele
My patrzem rzemiosła swego,
I bijem nieprzyjaciele.

I znowu moich żołnierzy,
Rozstawiłem po nad brzegiem,
Jak rzeka dotychczas bieży,
Nieprzestannym swoim biegiem.
Jam zaś nad samym wieczorem
Przebiegłszy pola i rowy,
Stałem przed znany dworem,
W obliczu kapitanowój.

Ona padła w me objęcia,
Piers na mężnej piersi wsparła
I jak gdyby niemowlęcia
Płacz z swego serea wywarła.
A ja ją tuląc do boku,
— Nie płacz moje drogie dziecko,
Bo nie zniosę twego wroku,
Tyś mi jest droższą nad życie. —
— Nie wierzę, nie wierzę tobie!
Wszak ja cię odwrócić chciałem,
Czy ty chcesz polegnąć w grobie?
Ja za tobą tak wołałam.

Chociażem ja tak wołała,
Tyś uciekał jakby strzała!
— Jednak ma luba mi przyzna.
Chociaż cię koeham nad życie
To przecież milsza ojczyzna,
Prawda? że czujesz to skrycie? —
Gorejącami ustami,
Zapaliła wargi moje
Co się wtedy działo z nami,
Nie wiedzieliśmy oboje. —

I tak już przez dwa tygodnie,
Pieszczotliwe życie gnałem
Z jęj ust, ah! jakże swobodnie
Resztki szczęścia mego ssałem.
Lecz po szczęściu zawsze troski
I tak się też ze mną stało,
Bo zewsząd ciągle pogłoski,
Że nas tu jest bardzo mało.
Nieprzyjacieli z przodu w tyle
Otoczył nas dookoła,

«— Ah! drogie są dla was chwile,
Cofajecie się kaźden woła.—
—Ja pierwój rozkaz mieć muszę,
Bez tego cofnąć nie mogę,
Choćbym miał wyzionąć duszę
Próżno wołacie na twóge.—
Żołnierzam wysłał jednego
Puścił się—jak w chmury raca.
Nazajutrz znowu drugiego,
I ten i tamten nie wraca,
Jeszcze trzeciego wysłałem,
I—bez rozkazu zostałem!,,,
Wiedziałem, że pod stolicę,
Już silne nadeiwały hordy;
Trzeba opuścić dziewicę,
Pójść — i staczać krwawe mordy!..

Nie wiedząc co powie na to,
Że niepomny za łask tyle,
Taką wywiąże zapłatą;
Że woli legnąć w mogile,
Jak szczęśliwy, wesół, zdrowy,
Mieć przy ustach dłoń jej tklivą,
Wolę pędzić przez parowy,
I opuścić nieszczęśliwą.

Jak kto chce, niech temu wierzy,
Jam kazał ściągnąć żołnierzy.—

A sam smutny i znękany,
Puściłem się stroną drugą,
Gdzie stali moi ułany,
Po—nad rzeki srebrną smugą.
Dzień się coraz bardziej spóźnia,
Chciałem przerwać swą dumanke,

Stała karczma, przyniej — kuźnia,
—«Wynieś mi tam piwa szklankę.—
—Zaraz Panie— karczmarz woła,
Gdy ja piję — on nibyto,
Klacz ogląda do okoła,
—Panie pęknięte kopyto,
Kowal właśnie jest w swój kuźni,
Nietrza zaniedbywać tego,
Bo jeżdżąc to może, później
Narobić się więcej złego.—
—A no, to wołaj kowala,
Dostanie za to na wódkę.—
—Lecz Klacz się kuć nie pozwala.—
—To jej dajcie na nos dutkę.—

Kowal kuł, ja fajkę ćmiłem,
Na ławie przy piwa szklance,
I znów, na nowo marzyłem,
O miłości, o kochance.

Kowal wszedł: «klacz już gotowa
—Dobrze oto masz na piwo.—
Kochanko moja bądź zdrowa,
—Szynkarzu! siodłaj co żywo.

Klaczzy wkładałem przyłbice,
Gdy on dopinał kołeczka,
Wtém jego krzyknie córeczka,
—«Nieprzyjaciół widać szpice!»

W jednej chwili już na klaczy,
Byłem za bramą karczemną,
Chcę zobaczyć co się znaczy,
I co teraz będzie ze mną. —

Tu z opodał małe wzgorze,
Od gościnka karczmę strzegło.
Dla tego trzy groty w górze,
Z po za niego wraz wybiegło.

Gdy wśród drogi coraz bliżej
Konie ich postępowały,
Chorągiewki coraz wyżej,
Po nad w zgórzem powiewały.

Szpica — wyraźna szpica,
Dobylem więc pistoletu,
Ta nieskłamała dziewica
Zginę — to nie bez odwetu.

Trzech, i karych mieli koni,
Mundury i pasy czarne *)
Trudnoby ująć ich pogoni,
Walezyć, i to chęci marne.
Zginać — wszakże nic wielkiego?
Kiedy trzech jest na jednego.

*) Przy zachodzącym słońcu pod górę to
tak się zdawało.

W chwili gdy ich rozważałem,
To już wierzchołka dosięgli,
I łatwo to rozpoznałem,
Że i oni mię spostrzegli.

Puścili się do mnie kłusém,
A ja mój klaczy cmoknąłem,
Wierzgnęła — i lekkim susem,
Daleko od nich pomknąłem,

Dobłą chwile kłusowali,
Poznałem, że to jest brodnia,
Nikt za niemi nie szedł dalej,
Więc to nie jest strażą przednią.

Chcąc dojść napadu przyczyny,
Puściłem klacz na całym pędzie,
Za lasem jest wieś Brzeziny,
Tam zobaczym jak to będzie;
Bo w chałupie przy ogrodzie,
Siedmiu miałem na odwodzie.

Tuż za lasem, rosło proso,
I pod gruszej wielkiej cieniu,
Stał sobie jakiś chłop boso,
I ze snopkiem na ramieniu.

Poskoczyłem więc do niego,
Rzekłem: — jak ta droga bieży,
Ot — tu z lasku przyległego,
Pędzi za mną trzech żołnierzy.

Kiedy do ciebie przypadną,
Co łatwo nastąpić może,
Jeżeli nasi — poznasz snadną,
Zdejm czapkę — powiedz — szczęście Boże!
Jeżeli nie « Panie już pędzą! »
Odwrociłem mą klacz z drogi,
Czym piekiel opętan jedzą,
Wszakże i chłop drapie w nogi.

Jak mówię trzech tylko było,
Umyśliłem więc plan nowy,
Bo mi się już uprzykrzyło,
Więc o strzał pistoletowy,
Do siebie ich przypuściłem,
A w tej mojej dziwniej biędzie,
Klacz na miejscu osadziłem,
I krzyknąłem: Stój, kto idzie!

Pierwszego miałem na celu,
Kiedy się w głos reześmiali,
— Ach nie strzelaj przyjacielu,
Razem wszyscy zawołali,
— Niechaj nas się Pan nie boi,
My jesteśmy wszyscy swoi.

— A proszę ja moich Panów,
Wyście z pod kommandy czyi?
— Myśmy z drugiego ułanów,
Staliśmy w eksekucyi.
A gdy teraz kaźden woła,

Ze nieprzyjacieli do koła,
Więc wzięwszy na łeb przyłbicę,
Chcemy ciągnąć pod stolicę. —

— Bodajże was diabli mieli,
Dla czegoż mnie płoszyć było?
— My tylko zabawki cheieli,
Ale bić nam się nie śniło.
— Kiedy tak, to zgoda z nami,
Wszak jesteśmy ułanami,
Ja jednakiej z wami myśli,
Niechże jeden do wsi bierzy,
Stan rzeczy niechaj okréśli,
I ściagnię moich żołnierzy,
My zaś w karczynie czekać będziem,
Gdzie mą klacz dopiero kułem,
I płaszcz z fajką zostawiłem,
A potem, koni dosiędziem. —

Gdy się do karczmy dostałem,
Nim się doczekam żołnierzy,
Szynkarzowi rozkazałem,
Pomyśleć co o wieczery,
A jak się wiara zjechała,
To kapusta i kiełbasy,
I jakby ogień gorzała,
Znaczne składały zapasy,
W krótcemy się posilili.
I dosiedli nasze konie,

Potém, ku miastu ruszyli,
Radząc o wspólnéj obronie.

Jak my się tam wszyscy zeszli,
To przychylni nam mieszczanie,
Takie nam wieści przynieśli:
Że obóz pod miastem stanie;
Że konnicy saméj dwieście,
Téj saméj nocy nadeiagnie,
I pozostanie się w wieście;
W rynku będą palić ognie,
Że jém muszą dać wygody,
Dla Officdrów kwatery,
Koniom owsa, siana, wody,
Zołnierzom wódki w maniery. —

Po takim więc doniesieniu,
Nikt zapewne niezaprzeczy,
Że to w naszym położeniu,
Nie zbyt smaczne były rzeczy.

Arakop rzekł mi: «Mój panie!
Nie trzeba krzyczeć niestety!
Tylko niech tu pluton stanie,
A po nab rzeką wedety.
Bo nieprzypószczam do myśli,
Ażeby oni odrazu,
W znacznych siłach tutaj przysli,
A tak zaczekaż rozkazu. —»
Inni radzili prócz tego,

Że gdy niemamy zasłony,
Wieczora tego samego,
Maszerować w swoje strony.

Ja, zawołałem: Pluton stać!
I rotami od prawego;
Teraz chodźmy sobie spać
Jutro zaś, to co innego. —

I na prawo Po ugorze,
Śliśmy w pobiskie rozdoły,
Aż do wioski — gdzie przy dworze
Na okół stały stodoły.
Pan dziedzic przyjął nas z krzykiem
Co nam się żadko zdarzało,
Był on z żyda katolikiem,
Tych poczeiwców jest niemało.

— «Po co mię tu nachodzicie?
I narażacie na straty,
Wszak wy dobrze o tem wiecie
Ja nie nie dam bez zapłaty.
Wroga na karku mają,
A tu się jeszcze błakają!
Zwrócił się, wszedł do pokoju
Jam zawołał na parobków:
Przynieście jadła, napoju,
Na posłanie kilka snopków
Dla koni, co zjedzą siana.
Owsa zaś po garncy ośm

Idźcie do waszego pana
Powiedzcie że go tu proszę
Aby się rozmówił z nami,
I dał nam czego potrzeba,
Bo dostanie nachajami
Lub pójdzie z dymem do nieba.

Ty się zajmij Arakopie!
Wedety rozstaw po drodze,
Każdemu dodać po chłopie,
Żywo — tak na jednej nodze!
A resztę koni eo mamy,
Powprowadzać na boiska,
Pootwierać wszystkie bramy,
W kuchni rospalić ogniska,
W razie jakiego napadu,
Aby można przyjsć do ładu.
Sam poszedłem prosić Pana,
Z podofficerem pospołu,
By kazał zabić barana,
Nie, to my zabijemy — wołu.
Rad-nie-rad, przekszta się krztusi,
Z żydowska tupał piętami,
Lecz darmo, wszystko dać musi;
Co poradzi z ułanami?
I tak najwięcej w godzinę,
Dał wódkę i baraninę,

A potem tak do nas powie:
— To jus zgoda między nami.

Na moje ścienście i zdrowie
I wraz przytupał piętami.
— No już to dobrze, cóż dalej?
— I cóż było panowie,
Prrosę abyście jechali,
Chodzi o ścienście i zdrowie.
Bo jak się tamęj psywała,
To panów razem z koniami,
I mie ze żoną podpałą.
I znów przytupał piętami.
— Prawda że to wielka szkoda,
Arakop z śmiechem mu rzecze,
Jeszcze jeżli żona młoda,
To twęj bojaśni nieprzeczę.
Lecz wiesz co? dam ci obronę.
Tylko niepowiedz nikomu
Przyprowadź nam tutaj żonę,
Jutro ci oddam do domu.

Przekszta nieprzemówił słowa,
Lecz jak my widzieli sami,
Nadół opadła mu głowa,
I trzykroć przbił piętami,
My się w płaszcze uwinęli,
I prawie wszyscy posneliliby.

W trzy godziny prawie potem
Żołnierz zawołał: «Kto idzie!»
Arakop krzyknął z łozkotem:
— Tyś-to-tu bestyo żydzie!

A przeksza znowu odpowie:
— Oto tu jest ta kobieta,
Na moje ścieście i zdrowie,
Niechże jej się pan popita. —
— A-no cóż tam powiesz babo? —
— Zaraz opowiadać będę,
Tylko mi jest bardzo słabo,
Pozwólcie niech sobie siedę.
I w tak zawartym przymierzu,
Gdy przeksza w głowę się drapał,
Siadła sobie przy żołnierzu
Co jeszcze wybornie chrapał.
— Byłam w mieście u mych córek
I mieliśmy iść do spania,
W tem-jak zawyje Burek,
Jak pójdzie ze dwa stajania,
Zarazmy się domysleli,
Że nowinę będziemy mieli.
Aż tu ze sześciu żołnierzy,
Tą ulicą z po nad rzeki
Jakby opentanych bierzy.
Wydając okrutne krzyki. —
— Niesłuchajcie-ja powiadam
Że się ta kobieta myli,
I nie wiedzieć co za to dam,
Że tam w tysiące przybyli. —
— Ale ja widziałem sześciu! —
— Boś widziała na przedmieściu?
Ale w mieście, coś widziała?
No powiedz? wszakże krociami?

— Kiedy ja tam niepostała. —
Znowu żyd tupnął piętami.
— Jednakże moi panowie,
Z was tu żaden nieucieknie.
— Na moje ścieście i zdrowie!
Uciekajcie przeksza rzeknie.
Uciekajcie, bo czas mały,
Chociaż teraz ucichnęło,
To ja sam słyszał wystrzały,
Prawda że je słyhać było?
— Oj prawda moi panowie,
Że już tak w mieście strzelają. —
Na moje ścieście i zdrowie
Mówią, że murrey piękają. —

Arakop stał między niemi,
Udając przestraszonego,
Potem się schylił do ziemi,
I podnosił, coś grubego.
W tem- dziedzic krzyknął strasliwie
Bo Arakop za te bajki,
Rospalony w swoim gniewie,
Dał mu w plecy- trzy nachajki.

Żołnierz co spał raptem skoczy
Niewiedząc o co rzecz chodzi,
Jedną pięścią przetał oczy.
Drugą-jak babę ugodzi,
To tylko dziwnym dwó-głosem

Zamruczała coś pod nosem
 Pan widząc że nie przeliwki,
 We dwoje prawie schylony
 Drapnął od leżącej dziewczki,
 Na skargę do swojej żony.
 I tak po skończonej wojnie,
 Niewiem czy się dziwka bała,
 Bo wszystko było spokojnie,
 Tylko ona coś mamrała.

Jam niemógł zamrużyć powiek
 Dręczony w mej wyobraźni,
 Niepewny przyszłości człowiek
 Tém bardziej się wszystkim drażni.
 Z obywateli niektórzy,
 Radził mi po prostu, szczerze
 Aby porzucić mundury,
 A w chłopów przebrać żołnierzy
 I rozejść się po ich wioskach;
 Był — to dla mnie projekt zdrady
 Lecz po różnych z sobą wnioskach,
 Chociaż żał kapitanówój,
 Nie wiedząc co tam nastanie,
 Mordy więzy albo rany,
 Umyśliłem pożegnanie,
 Zrobić u mojej kochany.

Już pierwsze brzośbu odbłyśki,
 Siały się w ciemnościach nocy,

Dzień już miał powstać z kołyski,
 W całej swojej świetnej mocy.

Nie mając chęci do spania,
 Rozkazałem trębaczowi,
 Trąbić do musztokowania
 A w tém, Arakop mi powie.
 — Patrz pan, konie wszystko zjadły,
 Resztki tylko w zębach żują,
 Prawie się wszystkie pokładły,
 Znać, że ciężką podróż czują.
 Mnie jakiś smutek przenika,
 Łza z oka gwałtem się sączy,
 Trza porzucić porucznika,
 Czuje że nas los rozłączy. —

Będąc na wszystko gotowy,
 Nie chciałem słuchać tej mowy,
 Bratnie mu ścisnąłem dłonie,
 A chcąc dojść do swojej mety,
 Rzekłem: — Wiarusy na konie!
 Arakop ściągniej wedety.

Gyśmy ruszyli w podworze,
 Małom nie parzknął ze śmiechu,

*) Jest to uwaga kawalerzysty, że koń najmocniej zmęczony, stanawszy w stajni niepołoży się na ziemi, — przeciwnie, koń wypoczęty, jeżeli w krótko ma być marsz, lub jaki pochod, kładzie się przy złobie, jak gdyby wypoczywał. —

Gdy mi żołnierz rzekł pocichu:

— Nie widzisz pan nic przy dworze?

Oto właśnie przededzwiami,

Pan młody i panią młoda,

Okazali się przed nami,

Z całkowitą swą urodą. —

Gdy ich żołnierze zobaczyli,

Niewiedzieć co znów za лихо,

Chociażem ja wołał — «Cicho!»

To oni razem krzykneli;

— A państwu zdrowia życzymy!

Aż ten krzyk poszedł w obłoki,

Przekszta, na poły stał niemy,

Arakop — z śmiechu rwał boki.

Pani — ale — powiem o pani.

Wcale dorzeczna osoba,

Nocny ubiór tylko na niej,

I ten się czasem podoba.

Przód wzięwszy razem z plecami,

Jak duże tarcze, łebek, mały,

Maleńkie rączki z różkami,

Z pomiędzy tych wyglądały.

Dość — ażeby niemiec który,

Taką zobaczył kobietę

Zawołałby zaraz z góry:

Och! das ist schöne Schildkrete.

Otóż, jak mówię ta dama,

Z nocey utraconym włosem,

Chcąc wyręczyć męża sama,

Gwiżdżącym rzekła nam głosem:

— «Pięknieście się wywdzięczyli,

Za dodanie wam przytułku,

My się będziemy skarżyli,

Z którego Wasan jest pólku.

— Jeżeli tylko chodzi oto,

Czyniąc za dość ciekawości,

Więc powiem szczerze z ochotą,

Z siódmego proszę Jejmości

By zaś nie zostać w obligu,

Więc proszę — co się należy?

Za przepędzenie noclegu,

Konie moje i żołnierzy. —

W tedy katolik w połowie,

Krzyknął z wypłaty szczęśliwy:

— Na moje szczęście i zdrowie,

Pan jesteś bardzo pocziwy.

Dalibóg że ja nie kłamię,

Żono! oto i pieniądze masz. —

Ja — rotami prawe ramie,

Naprzód, w koło stępą, marsz!

W spaniale wschodzące słońce,

Na ziemię jakby z pieczyoty,

Rozlało darów tysiące,

Złoto, srebro, lub klójnoty.

Rzekłem: moi przyjaciele,
Z sobą już niebędziem długo,
Kto wie? co nam los uśmieł
Udarujcie mi przysługę. —
— Jaka? z tobą idziem wszędy,
Mów — a groty już na przędzie —
— Taraz jeszcze tak nie będzie
Tylko słuchajcie kommendy.
Stać z kaszkietów zdjąć ceraty,
I pozakładać pempeny,
Na piersiach rozpiąć ceraty,
I poprzipinać kordony!

I ja toż samo zrobiłem,
Na pałaszu wsparłszy bion,
Raptem go z pachwy dobyłem,
Potém, — Ułany za broń!
Naprzód klusem marsz! i w chwili
Mimo wszystkich ciekawości,
Przebiegliśmy ze ćwierć mili,
Do znajomej już nam włości.

Godzina dopiero czwarta,
Może śpi — może zléknie ludzi —
Brama — do dworu otwarta —
Nasz chałas — nagle ją wzbudzi.

Arakop rzekł mi: Ej! oto
Czego tak długo marudzić,
Siebie nudzić i nas nudzić,

Wysłać jednego piechotę.
Wrócił i rzekł: «w rannym stroju
Pani już jest w swym pokoju —»

Pluton! — formój front!
Dyrekeya na prawo!
Baczność karabiniery!
Na od stępy w czwotoką!

W tém w oknie pękły kwatery,
Ona zeń wołała: Brawo! —»

Szóstkami na przód klusa,
Ja dałem pod okno susa
I tak w gwałtownym zapędzie
Że sam na ten czas sądziłem
Że klacz ze mną w oknie będzie
Mej lubej twarz tak miłą była
Jak, kiej aniołów malują
Ja jej się szablą skłoniłem;
Ale moi wciąż kłusują,
Formuj trojki!
Onaby mnie zwyciężyła,
Nie chcę wchodzić w takie bójki.

I cała w radości stała,
I w śnieżne dłonie klaskała.

A w tem ze dworu fagasy,
Wynosili wędlinę, wódki i kiełbasy.
Formój pluton! stać!
Ognia karabinkami!
Trębacz marsze grać!

Ona mi rzecze: «C'est assez mon ami.
Ale ja z sercem w rozpaczy,
Puszczając się w dalszy pochód
Pluton! prawe ramie na przód!
Marsz! marsz! zakommenderowałem,
Tak, zanim się zrozumiała,
Co to wszystko jeszcze znaczy,
Takim strasznym śliśmy cwałem,
Iż my znikli jakby — szła.

I bez tchu już będąc prawie
Cwierć mili od wioski brzegu
Roskazałem zwolnić w biegu,
I odpocząć na murawie.
Żołnierze więc posiadali,
Ja padłem jakby bez technienia,
Niewiedząc, co począć dalej;
To znów dręczyły wspomnienia
Los mię tak chwycił zdradziecko
Że gdyby nie wstyd tajeny
Płakałbym, jak małe dziecko,
Żem został tak opuszczony.

W tem, Arakop przy mnie stanie,
A powiodłszy pomnie w źrokiem,
Rzekł: — To może pożegnanie,
Tej dziewicy, z krasnem okiem.
Jeżeli tak, to niema czego,
Myślą tam po niebie szperać;
Tu chodzi o co innego,

W pochód się trzeba wybierać. —
— Pierwej powiedz mi człowieku,
Czy miłością, czystą, tkliwą,
Kiedy w twoim młodym wieku
Pokochałeś czarno-brywą?
— Prawda, całą siłą duszy,
Kocham, ach! kocham jedyną
Czy dzisiaj zgine,
Czy młodości lata minę,
Nie mej miłości niewzruszy,
W życiu i śmierci godzinie.
Ja taką tęnę rozkoszą,
Kiedy o niej myślę,
Że modły moje,
Do niebios mię unoszą
I w obłąkanym umyśle
Dla niej rozkoszy i szczęścia podwoje,
Chciałbym otwożyć.
Niech ciężkie znoszę cierpienia,
Niech ze mnie cieknie krew cała,
Aby tylko tego dożyć
By w chwili ostatniego technienia,
Usłyszeć od swego brata,
Ona szczęśliwą została,
Oto jest twoja zapłata.
Ach! jeszcze teraz krzyknąłbym: «Do koni!
I silnem sercem, rozognioną duszą,
Z mieczem w mej dłoni,
Patrzyłbym zabójczym wżrokiem
Jak jego cięciem głębokiem,

Krew ciecze, czaszki się kruszą.
 Jaki krzyk bije w obłoki,
 Jak groty w kościach zgrzytają,
 Jak rozbryzgane krople posoki,
 Na moje piersi na mą twarz spadają!
 Jak nieszczęśliwi, co nas wiedli w szranki,
 Konają pod nogi mojemu,
 Za najście mojej kochanki,
 Kochanki! Rodzinnéj ziemi!
 Bo ma kochanka nie inna,
 Jak tylko ziemią rodzinna....

I jakby wściekłości szaleń,
 Słowy jego upajany,
 Na koń! — wściekle zawołałem,
 Na koń! waleczne ułany.
 Chociaż nas jest tak niewiele,
 Jednak silną dłońią naszą,
 Uderzmy w nieprzyjaciela,
 Pogroźki miech nas nie straszą.

Ty we 20. żołnierzy,
 Pójdiesz od tego wiatraku,
 Jak wąż ku miastu bieży,
 I zatrzymasz się przy krzaku.
 A ja zresztą, stronę drugą,
 Gdy ty już ku miastu zmieżysz,
 Wpadnę przez ulicę Długą,
 Gdy ty w sam rynek uderzysz.

Tylko mężnie i ochocze,
 Bić co tylko który może,
 Aż się ulice sposoczę,
 Teraz na przód w jmie Boże!

Śliśmy jak gdyby myśliwy,
 Na dół, zpuszczonemi groty,
 Wąwozami, obok niwy,
 Pełni nadziei, ochoty,
 Minawszy miejskie zagrody,
 A niespodkawszy się z nikiem,
 Nagle jakby orzeł młody,
 W miasto wpadliśmy z okrzykiem,
 Lecz zamiast mordów i boju,
 Wszystko zostało w pokoju,
 Ludzie co dopiero wstali
 Jedni śli do swej roboty,
 Drudzy nam opowiadali,
 Że nieprzyjacielskie rotę;
 Zapewne z Boskiej — to mocy,
 Nienadciągnęły tej nocy.
 Jednak nam znowu radzili,
 Że tu niemamy zasłony,
 Więc nietracąc żadnej chwili,
 Maszerować w swoje strony.

A zatém na pożegnanie,
 Wypiliśmy wspólne zdrowie,
 A co się tam z nami stanie,
 Niech o tém myślą Bogowie. —

Nie jedna łezka kobiety,
Lub uściśnienie mężczyzny,
Towarzeszyły rozstaniu.
My w tak czułem pożegnaniu,
Wszyscy razem zanucili,
Piosnkę dawnego poety,
« Świąta miłości oyczyny »
I w drogęśmy się puścili....

Udreczony byłem srodze,
Gdyśmy się zmiastem rozstali,
I w tém — czterech żydów w drodze
Przed karczmaśmy napotkali
Jeden był z rozciętym nosem,
Drugi miał głowę rozciętą,
Trzeci z rozczochranym włosom,
Z ręką w chustkę zawiniętą.
Furman wpokrwawionej mycce
Siedział bez czapki na głowie,
Tamci w dosyć dobrej bryczce,
Byli umarli w połowie.

Arakop krzyknął; Hultaje!
Z kąd wy jedziecie? — a oni,
Rozkazali wstrzymać koni;
— Mówiąc: « Niech nas Pan nie łaje
My kupcy tsi z miasta temu,
Razem psieprasam, jeździmy,
Psiecie my nigdy nikiemu,
Napsikład, złego zrobimy.

Ja sobie, bo coś to? z bratem. —
— To nie stuka — drugi powie:
Z pałasem i z takim batem,
Kiemu tak pokalcycę w głowie.
Jeden mi napsikład bije,
Jewreju mat twoju jeti,
Drugi na leb złamie kije,
Sukinsyny Isralety!
My se jedziemy spokojnie,
Bo cos — to? niewolno jechać?
Cy my to wiemy o wojnie!
A tak bić to lepiej zdéchać!
— Co wy pleciecie psu — braty!
Arakop z gniewem zawoła,
A — to czyste waryaty
Ja ich nierozumię zgoła!
I któż — was więcę pobił taki?
Że posoką łby tak ciekną,
Z kąd takiej bójkii oznaki?
— Niechaj oni z diabłem pękna.
Kiemu robić taki skwerres
Aż do nosa krew mu idzie,
A to mi piękny interres?
— Ale mówże jucho żydzie!
Arakop rzekł do furmana:
Kto? i gdzie? was tak pobili. —
— No stile! — psieprasam pana,
Niema temu ani mili
My jeździmy tu do domu,
Prosto przez ich seregi,

Niepowimy nie nikomu
 A oni — prą żeśmy śpiegi! —
 — Ależ, kto mówił cymbale? —
 — Psieprasam bo wy polacy,
 Ale tamci to moskale,
 Z wami to psiecie inacy,
 Wy nam gziecnie powiadacie,
 Bo każdy wi o swęj bidzie.
 «Powiedz mój żydku psu-bracie,
 Albo: powiedz jucho żydzie.
 Ale tamci — w pisk w lep kijem
 Ajwaj! — to są grubijany,
 My od strachu ledwie żyjem
 Nimas-to jak polskie pany!
 — Ale powiedz mi gdzie stoja,
 I jak wielka jest ich rzesza? —
 — Wsędzie się jak muchy roją,
 Lub pokolenie Mojzesa.
 Niech się panowie nie kwapia,
 Bo oni was ze koniami,
 Co do jednego wylapia,
 A gorzej będzie jak z nami. —
 — A więc ruszajcie psu-braty,
 Poki cierpliwości staje,
 Gdy was niedobiły baty,
 To my tu mamy nachaje!
 Żydzi się tém zestrachali,
 Podcieli i pojechali. —

Uroczę było milezenie,
 Bo był to kłopot nie mały,
 Ludzie zatrzymali tchnienie,
 Konie nozdrzami parzkały.
 Rzekłem: «Żołnierze już wiecie,
 Co każdego teraz czeka,
 Krew się poleje obficie,
 Nie z jednego może człeka.
 Więc wam mówię: albo razem,
 Puśćmy się odważnie w drogę,
 — Myśmy pod twoim rozkazem. —
 — Panie! ja wam dopomogę. —
 Te słowa karczmarza były.
 A wszystkich nagle wspanięcia,
 Jakby go na raz przebiły,
 Chcąc dojść co nasz los odmienią.
 — Dobrze! — ja tobie zapłacę —
 — Alboż ja to jestem takim,
 Że kiedy śmierć zakołace,
 Wyrzeknę się być polakiem?
 O! nie panie w takiej chwili,
 Mnie zapłaty nie potrzeba,
 Wszak wy dla mnie bracia mili;
 Wszyseśmy w opiece nieba.

A ja to kiedyś, pamiętam, mój Boże!
 Pod polskim orłem, Kościuszki rozkazy
 Rzynałem tych drabów, zawiele być może
 Bo byłem kulą przeszyty dwa razy!...
 Słodkie by jednak te zostały męki,

Gdyby nie lancą rozerwane żyły,
 Pozbawiły mię władzy prawej ręki,
 I w dalszych walkach bezczynnym zrobiły,
 Dzisiaj się patrzę na krew naszą bratnią;
 Jak wszędzie ciecze, burzy się lub pali,
 Jak żebym oddał, mój, krople ostatnią
 Gdyby mi byli ręki niezlamali! —
 Oj! i wy bracia nie myślcie o trwodze,
 Niech w waszych sercach jedna myśl zapłonie.
 Jeżeli cierpieć — trzeba cierpieć srodze,
 Jeżeli legnąć, to w ojczyzny łonie,
 Jeżeli walczyć, to aż sił zabraknie,
 Jeżeli uderzyć, to nie cofać nogi,
 Bądź jako tygrys, co krwi cudzej łaknie,
 W obronie polski, bądź jako lew srogi. —

Popatrzał na nas — postać jego miła,
 A jednak duszy taila boleści,
 A w oku jego jutrenka świeciła.
 Co to raz straszy — to znowu upieści!..

— Znam tu wszystkie nasze knieje,
 Wnich wam będę przewodnikiem,
 W panu Bogu mam nadzieję,
 Że się niespodkamy z nikiem.
 I przez cztery mile drogi,
 Mój pocziwości nie zmażę,
 Pojdziem, przez chrusty i głogi,
 Potém, to czynicie — co każę. —
 — Dobrze nas bracie! — ale wiesz?

Że manierki próżne mamy,
 Więc po wódkę cotechu bierz,
 My cię tutaj poczekamy;
 I po cztery pół kwaterki,
 Każdemu daj do manierki. —
 — Pijmy po piątym Panowie!
 Bo to wesołości doda,
 Al to, — za wszystkich zdrowie;
 Niech nam zabłyśnie swoboda! —
 — Wiwat! karczmarzu kochany!
 Nim nam lasy przyjdzie przejść,
 Lój po szustym dla odmiany,
 Cięci prostych, wszak jest sześć. —
 — Słuchaj — jęczmienia dwie fury,
 Wziołem dla koni zapaseu,
 Musimy pędzić przez góry,
 Albo przeżywać się lasem,
 Więc, cóż ja teraz znim zrobię?
 Twą dobroć, dla nas pojmuje,
 Dla tego daję go tobie. —
 — W takim przypadku — przyjmuję.
 Jeszcze po jednym kieliszku,
 Ten spirytus nie jest tęgim. —
 — O! już to dosyć, braciszku.
 Wiara! pociągnąć popręgi.
 Na koń! rotami od prawngo
 Marsz! — krzyż na piersi i na czoła!
 W imię Boga najświętszego
 Zaczynamy! — karczmarz woła. —

— Dobrze więc, w tych lasach wszędy,
Twój będziem słuchać komendy. —

Dziewczęta z karczmy wyjrzały,
Na nas tak łzawém okiem
Że nam aż za serca rwały;
My, wolnym ruszyli krokiem.

Ułani, w chodząc do lasu
Rzekli: «Bądźcie zdrowe dziewczki—,
A karczmarz: — nierób chałasu
Cicho! na dół chorągiewki. —

Jak nas przez lasy prowadził
Już tego mówić nie będę,
Bo raz odradzał — znów radził,
A dziwną — bo miał komendę.
I taki: — wśród lasu gęstego,
Gdzie ścieżka wązka się wila
«— gęsiego panie! gęsiego» —
To, jego komenda była.
Wiśta, na lewo znaczyło,
Hetta, znaczyło na prawo,
Więc nas to bardzo bawiło,
I tak, ruszaliśmy żwawo.

Ciągle już przez trzy godziny,
Ten pocziwiec nas prowadził.
Z lasu w las, z gór do doliny,
A nigdzie — nigdzie nie zdradził.

Gąszczem w okrytej równinie,
On rozkazał — do z siadania.
— «Nim się ostatni las minie,
Mam z wami do pogadnia:
Pamiętajcie, że za lasem,
Karczma, tuż za lasem leży;
Niewyjeżdżajcież przed czasem,
Możecie w paś na żołnierzy.
W przód zobaczę, co się świeci,
A wy mnie czekać będziecie,
Tylko słuchajcie mię dzieci!
Inaczéj to poginiecie. —
— Dalej no bracie, do rzeczy,
Wszak twém radom nik nie przecz,
— Zachowajcież wszystko ściśle
Rzućcie się z góry na błonie,
Potem na prawo ku Wiśle,
Niechaj pędem idą konie
Będzie tam wioska — w tym dworze
Jest bardzo polak pocziwy,
On wam we wszystkiem pomoże.
A potem znowu przez niwy,
Aż do Wiślanego wału,
Dążyć ostrożnie — pomału.

Teraz bywajcie zdrowi towarzysze,
Idźcie gdzie wasze powołanie święte,
Może téż o was ja kiedy posłyszę,
Może me oczy nie będą zamknięte,
Kiedy się dowiem, o téj szczęśnej chwili,

Za moją radą — przewodnictwem mojem,
 Niebezpieczeństwa wszystkieście przebyli,
 I w waszych kole, staneli spokojem. —
 — Więc już nas żegnasz? Nie moi kochani,
 Lecz jak wam mówię, że na końcu lasu,
 Gdybyśmy byli, przypadkiem spodkani
 Do pożegnania, niebyłoby czasu. —
 Kochany bracie! więc daj twoje ręce!
 O! moi bracia, ręce są zbolale,
 Lecz oto silne jeszcze bije serce,
 Dla was i Polski, nie będzie za małe,
 Oby nam jeszcze zabłysnął dzień błogi,
 By nasza Polska! szczęśliwą została
 By niewiedziała, co to karmić wrogi,
 By takich synów, jak wy zawsze miała; —
 — Bracie daj pokój — bo serca boleją,
 Wiesz jak jest gorzka, naszych nieszczęść czara,
 — Niewiecież bracia? Ci cierpieć umieją,
 Których męczarni, ni koniec, ni miara.
 Dajcie więc czarki, wszak w wasze manierki,
 Wlałem każdemu, cztery pół kwatkerki,
 Zdrowie nas wszystkich! a tyranów dusze,
 Którzy nam Polskę tak rozdarli marnie,
 Zasnim je ogniem, piekło swym ogarnie,
 Niech stokroć większe ponoszą katusze! —

Na koń! i znowu gęsiego,
 Klusem ślimy pół godziny,
 Gdzie obok lasu gęstego,
 Zaczynały się równiny.

Kazał nam stać i z siąść z koni,
 Sam się na ziemi położył,
 Potem nachylił swych skroni,
 I ucho do niej przyłożył. —
 — Są! — Cicho teraz panowie,
 I to blisko psie wiary,
 Można ich poznać po mowie,
 Bo dobrze słyhać ich gwary. —

Przeskoczył chrusty i błota,
 Zalekłego zrobił minę,
 A potem zrzeczością kota,
 Wydrapał się na sosniny.

Spojrzał na prawo i lewo,
 Smutnym wzrokiem na nas rzucił,
 Potem opuściwszy drzewo,
 Z szybkością ku nam powrucił.
 — Oto, opowiem wam krutko,
 Przy karczynie stoi ich chmura,
 Karczmarz częstuje ich wódką,
 Więc dalej na koń! i — hurra! —
 — Dopukiś nas wiódł lasami,
 Tyś miał przewagę nad nami;
 Teraz ja tu działać będę,
 Więc proszę z daj mi komendę,
 Niechciałeś przyjąć nagrody,
 Oto masz braterską dłoń,
 Dałeś prawości dowody,
 Bywaj zdrów! — Ułany za broń!

Na przód karabiniery!
I ziemia jękała pod podkową z stali,
Hurra! — i z zemstą zajadła
Hułany pośli w flankiery,
Drudzy broń do flanku brali
Kozactwo, koni dosiadło.

I jakby pędem wiru, puścili się w prawo,
I bałwan kurzu miotał się nad niemi.
My ich żegnając, krzyknęliśmy: «Brawo!»
I śliśmy na prost, nietykając ziemi.
Jak w całym pędzie, biegniemy błoniami,
Lecz łotry dobrze nas porachowali,
I chcieli objąć swojemi skrzydłami,
I zdusić razem, jak w kleszczach kowali.

Ale ja pierwaj nauczył mą wiarę
Jeżeli nas wezmą do środka w półkole
Niestaczać bitwy, gdy ich jest nad miarę
Tylko się przebić — albo pojsć w niewole. —

Moje wiarusy w cale się nie bały,
Bo silni byli i sercem i duszą.
I konie długo nam wypoczywały,
Dla tegom myślał, że diabłów pokruszą.

Niepodobna już było pędzić bez wytchnienia,
Ściągnęliśmy więc konie, i śliśmy powoli.
A łotry tocząc nas wzrokiem,
Sądzili że bez zetchnienia,

Otoczywszy nas, tym i owym bokiem,
Zabiera do swej niewoli.

Lecz nie tak chciały wyroki;
Ja ciągnąłem w lewo,
Oni na prawo siły obrócili
Skrzydłem oparli o rów szeroki,
Lewem o geste drzewo,
A środkiem na nas cisnęli.
I gdy już do nas, o sto kroków przysli,
Ja się nagle obróciłem,
J tak gwałtownie na ich lewe skrzydło,
Takim pędem uderzyłem,
Żeśmy ich tak zmieszali, jak leniwe bydło:
I jakby błoto rozbryśli.
A widząc w moich ku temu ochotę
Krzyknąłem znowu wesoło:
«Prawe ramie naprzód w koło!»
I uderzyłem w zmieszaną chołotę.

Lecz kiedyśmy się na wylot przebili,
I w odległości liczyli swe głowy,
Z jakąż boleścią razem my widzieli
Że nas niebyło już prawie — połowy!
Więc pędem znowu ruszyliśmy dalej
Aby uniknąć wściekłości moskali.

Słońce gorącym promieniem przyświeca,
Pot zmieszany z kurzawą, już okrywa konie

Gdy przybywamy, — do tego szlacheica,
Który miał myśleć o naszej obronie!

A on nam rzecze: O! moi kochani,
Czyli wy boskiej szukaliście kary?
Czyli, chcieliście wszyscy być zabrani?
Wszakże tu stoją rossyjskie huzary!
Pędźcież ku Wiśle — lecz co się to stanie!
— Rzekłem do niego: zdrów stary gawędo,
— Nieś wam opiekę, przenajświętszy Panie!
— Ty nam bajdużysz, a tamci przybędą.

No bracia droga przed nami!

Potrzeba się wyrznąć w pole,

Ot tu, po za stodołami,

Przecież nie stoją w stodole.

Daléjże zatem koło wioski brzegu
Prosto ku Wiśle jak nam mówił stary,
Konie szły z nami w całym swoim biegu,
Aż nam tu nagle zaskoczą huzary! —
I gdy pół szwadron prosto ku nam zmieża
My uchwyciwszy po pod pachy lance, w
Uderzyliśmy ze wściekłością zwierza,
W sam środek na te pogańce.

Lecz gorsza boleść przeszła nam łono,
Gdyśmy do jakiejś wioseczki dopadli,
Że nas ze wszystkich pięciu wypuszczono:
Inni w niewoli albo też przepadli!

A — że tu chłop do stodoły,
Wiezie wysuszone zboże,
Jednym koniem — parą woły,
Może ten nam dopomoże.
— Wyprzęgaj konia człowiecze!
Zaprowadzisz nas do wału,
Gdzie się Wisła nurtem wlece,
Tylko żywo! — nie pomału!
— Zaraz — pierwszej żyto zwałę,
— Siadaj w moment! — albo tobie
Z pistoletu w łeb wypalę,
I wnet legniesz w zimnym grobie!

Drżący chłopেক na koń siada,
Drobnym klusem rusza z nami
Potém, do nas tak zagada:
— Otóż jestem przed krzakami.
Te krzaki, są tuż przy wale,
Który je w podłuż przecina,
Tu nas nieznajdą Moskale
Bo chaciebna jest gęstwina. —

I po murawy kobiercu
Depeząc, sliśmy zadumani,
Z boleścią w piersiach i sereu,
Utratą naszych nekani.
Mało — co słuchając chłopca,
Co nam trzy po trzy bajdurzył,
Niema żołnierzy — niema Arakopa!
Co nam tak wesoło służył....

Aż przewodnik rzeknie śmiało:
— Panowie! wy niesłuchacie,
Ja mówię że was mało,
A tu się bić jeszcze macie.
Moskale włuczają się wszędzie;
Jak ostatni krzak miniemy,
To znowu równina będzie,
A kto wie, co zobaczymy?
Zatém słuchajcie mój rady,
Jeżli ja z konia zeskokczę,
Niechodźcie dalej w me ślady,
Bo to znak — że tamtych zoczę.
I w gajach się naradzicie —
Nad przyszłości waszej dola;
Czyli tu zakończyć życie,
Czyli lepiej pójść w niemola?
Otóż — się już kończą krzaki,
Oto — łąka — ja w przód wyjde,
Jeżli ujrzę oddział jaki,
To tu już do was nie przyjde. —

Ledwo minął pierwszą bródę
My stojęm, bez żadnej wżawy;
Aż, on z konia — zdiał mu uzdę,
Niby to łapie go z trawy.
My będąc za gęstym krzakiem,
Jak martwiśmy pozostali,
Gdyż to było pewnym znakiem
Że już zobaczył Moskali.

Cóż tu teraz człowiek pocznie,
W takiej liczbie — to kłopoty!
Chciałem rozpoznać naocznie,
Jak silne były ich rotty.
Wyjechałem — za mną wszyscy!
Staneli na łąki kraju,
Niewiedząc żeśmy tak bliscy,
Że huzary tuż przy gaju!....
Co robić? — dwóch się nie pyta,
Tylko zwróciwszy rumaki,
Pędem umknęli, i — kwita,
A my cofnęli się w krzaki.

Lecz nasze próżne namysły,
Co robić? — pytam drugiego,
Rzecz: «Ja skakam do Wisły,
Jak Boga kocham mojego! —

I bez najmniejszej odwłoki,
Konia ostrogami kłuje,
I we trzy, lub cztery skoki,
Wał wisłany przeskakuje.

Równie czekać nie mam czego,
Puszczam się jego śladami,
I na żołnierza mojego,
Zawołam by szedł za nami.

Lecz kiedy wierzchu dochodzę,
Klacz mi uwiązła na wale,

Więc znowu na powrót schodzę,
A wszystko — widzą moskale.

Przecież o kawałek dalej
Wziąwszy Boga na obronę
Trawnikiem my przejechali,
Przez wał po za drugą storo.

Niewiem gdzie szukać pierwszego
Aż on po nad brzegiem stoi,
Więc się przysuwam do niego,
A on drzy — wskoczyć się boi. —

Brzeg był nad zwyczaj wysoki,
Woda się wzdyma bałwany,
I bije o jego boki,
Aż żółte toczą się piany,
Schwytałem za konia jego,
Bom widział niebezpieczeństwo,
Pytam: «Pływasz ty kolego?»
— Niepływam — A to szaleństwo,
Jak skoczysz zniosie cię woda,
Bo tu jest głębia straszliwa,
I ciebie i konia szkoda,
Wir cię w ten moment porywa,
I prędzej zginiesz zanim ja,
Zawołam: «Jezus Marya!»
Lepiej już prosić pardonu,
Pomimo że to zbyt boli;
To przecie unikniem zgonu.

Chociaż pójdziem do niewoli,
Mój zamiar jeszcze jest taki,
Zaniem nas Moskal ochłonie,
W najgęstsze ukryć się krzaki,
Biorąc ze sobą i konie. —

Więc my się na to zgodzili;
A wzięszy konie od pyska,
Do gajuśmy wprowadzili,
Będąc zawsze Wisły zbliska.

Stojemy — a cicho wszędzie,
Ledwo wietrzyk gajem ruszy,
My — czekamy co to będzie,
Konie nadstawiły uszy.
Dobry kwadrans tak my stali, —
Spokojność — jak gdyby w grobie,
Dla czego niema Moskali,
Niemogliśmy pojąć w sobie.

Rzekłem do mego ułana:
Zdejm ze siebie ładownicę,
Potem się schyl na kolana,
I przejrzyj tę okolicę. —

Ułan lance w ziemię w bija,
Konia i pałasz oddaje,
Potem się płaszczem owija,
I chyłkiem puszcza się w gaje.
Ale jak poszedł, — tak więc nie wrócił —

Niewiedzieliśmy co się z nim gdzie dzieje,
I konia i broń losowi porzucił,
Samemu skryć się większą miał nadzieję.

Aż tu nasze krzaki trzeszczą,
My w małym stojemy dole,
Huzary bronią szeleczczą,
Ciągnać przez krzaki w półkole,
Patrzę — aż prosto przed nami,
Zaczęła się giąć olszyna,
I kołysać wierzchołkami,
Jak na stawach bujna trzcina.

Spojrzałem na towarzysza,
Poznać go niemożna było,
Dziś mię to jeszcze rozsmiesza,
Jak go oblicze zmieniło,
Raz zbłądł — to znów zarumienił,
Nieruchomém patrzył okiem,
W krzak, co się przed nim zielenił,
I przed wroga zakrył wzrokiem.

Lecz ten na raz się pokaże,
I zawoła: «Krzycz pardonu!
Lub tę lancę w krwi twój zmażę,
I nie ujdiesz twego zgonu!»

Odbiłem szablą grot jego,
Mówiąc: «My się poddajemy,

Prowadź nas do plenu twego,
Posłusznymi ci będziemy. —

Gdyśmy już broń oddać mieli,
Drudzy — na naszych wpadają,
Lecz ci pardonu niechcieli,
Tylko pędem uciekają, —
Krzyk straszny powstał dla tego,
I wszystko pędzi gajami.
— «Hii! nieujdziesz! łowi jecho! —
Huzar — się został przed nami,
Podofficer co stał przy mnie,
Znagła do zmysłów przychodzi,
W bitą lancę z ziemi wyjmie,
Tą huzara tak ugodzi,
Że za jednym jego skokiem,
Grot drugim wyszedł mu bokiem.

To w jednej stało się chwili,
Jeszcze niełożyłem broni,
Więc my razem poskoczyli,
I osiedli naszych koni.

I wśród powszechnego krzyku,
Ten padł bez życia i słuchu,
Tylko z kłutwą na języku,
I lancą w boku i brzuchu.
My raptem na wał wskoczyli
I co tylko koń wydoła,

Usłiśmy więc wrogów gromu,
Jeszcze raz, dzięki Ci Boże!
Prosiemy więc właściciela,
O pokarm dla nas i koni,
Tu niema nieprzyjaciela
Nielekamy się pogoni. —
A on rzecze: «z tego doma,
Niema godziny połowy,
Jak mi wzięli Ekonoma,
I dwie najtłuszcjsze krowy,
Bieźcie co chcecie panowie,
Wszystkim podzielię się z niemi,
Ale świadkiem są bogowie.
Żeście tu niebesieczni.
— Więc na wszystkie obowiązki,
Nam łaknącém i zgłodniełém,
Daj napoju i przekąski,
Choć po jakim kąsku małém. —

On do domu wnet zaziera,
I woła na swą kobietę,
By przyniosła chleba, séra,
I z karafką okowitę. —
Pijemy po raz i drugi,
Tylko coś my sér z jeść mieli,
Aż tu galop jak koń długi,
Za sobąmy posłyszeli. —

My więc w nogi, co koń skory,
Ruszyliśmy wpośród łąnów,

Po za płoty i obory;
Patrzem: — To jeden z ułanów!
— Gdzie ty pędzisz? — a za wami —
— A tamten? — Ja boską wola,
Umknółem przed Moskalami,
Tamtego w zieli w niewolą.
Więc wracajmy niech ten sknóra:
Da jeszcze wódki i séra,
My pijemy — a on baje,
O początkach swego rodu,
Potem nam nauki daje,
Kędy mamy szukać brodu,
Że jak już za wieś wyjdziemy,
To będzie na prawo droga,
A po niej błonia minimy, —
Jak od Wisły jest odnoga,
Aby jeden poszedł przodem,
A z drogą niech się nie minie,
Bo koniecznie trza iść brodem,
Inaczej zginać w głębinie. —

My dziękujemy za rady,
Przez wieś się stępą puszczaemy,
Niewidząc już żadnej zdrady,
W tem chłopa napotykamy, —
Co dwa konie, z chłopcem razem,
Z łąki do domu prowadzi,
— Czyś ty z tej wsi gospodarzem?
Wszak zapytać się nie wadzi,
— Jućci z tej — i to od młodu —

To znasz tu Wisły odnogi,
Zaprowadzisz nas do brodu,
Byśmy w dalszą posli drogę.

I to wiedzieć jeszcze trzeba,
Że światło na pełni było,
Bo księżyc w postaci chleba,
Wszedł — gdy słońce zachodziło,
— Ja nie pójdę — chłoppek rzecze:
Bo mam interes domowy.
— Lecz my cię prosim człowieka,
Zaniechajcie próżnej mowy,
Tylko synalka waszego;
Postaw przy płocie ogrodu,
A potem wrócisz do niego,
Jak nas zawiediesz do brodu,
Inaczej za twe gadanie,
Jak będziesz taki uparty,
Kulką się do łba dostanie,
Bo z nami teraz nie żarty.

Prowadzi więc ku odnodze,
A my ciągle w naszej biedzie,
Bo ciągle byliśmy w trwodze,
A ten — jak wiedzie, — tak wiedzie,
Co on powie: «Oto jest bród»
Ja niewierzę — (jak to bywa)
Wołam: «a — no! ruszaj na przód! —
Aż on z brzegu zaraz pływa.

Tak że księżyc był wysoko, W
A my się ciągle błakamy, W
Jeszcze się zalał pomroką! W
I noc — co tu począć mamy? W
Zatém w największej rozpacz, W
Wylukłem go więc pałaszem, W
— Ruszaj bestyo! inaczej W
Zginiesz, w towarzystwie naszym. —

I tak chłop w ciemnościach znika,
Co za czart z nami się stanie?
W nocy, i bez przewodnika?
W tém — słyhać w prawo, szczekanie,
« Chodźmy tam: kiedy pies szczeka,
To tu pewnie znajdziem człeka.

Moi niechęą — tylko stali,
Mowiąc « że psy nadaremnie,
Niewyją — tylko Moskali,
Zawietrzyli zbliśka pewnie, —
— Kiedy tak — to pójdę przodem,
A żebyście niemówili,
Że chcę być śmierci powodem, —
Oni się ku mnie zwrócili.

I ostrożnie bez kłopotu,
Idąc już scieszką tą sama,
Przybyliśmy aż do płotu,
I stanęli, tuż przed bramą.

W podworzu pełno gnojówki,
A mnóstwo gęsi — i kaczek nie mało,
Z walana trzoda, mleko dójne krówki,
Z strasznym nas krzykiem witało,
Szedłem w gnoju po koluna,
Wśród krzyku — ktoś drzwi odmyka,
Rzekłem: — «prosiemy też pana,
Dać do brodu przewodnika, —
— A pójdz do wszystkich szatanów!
Czyż go wytrąsnę z rękawa?
Na rozkazy mości panów?
Jeszcze w nocy — z diabłem sprawa! —

Odszedł — i zatrzasnął drzwiami,
Więc ja po ukłonach wielu,
Proszę: «jeszcze słówko z nami,
Pomówże — mój przyjacielu, —
Wrócił się przecie gburzysko,
I nibyto, we drzwiach słucha,
— «Niechże Pan przystąpi blisko,
Bo mu coś powiem do ucha, — »
Przyszedł — No cóż? — Oto wiecie,
Nas tu ścigają Moskale,
Widzisz — kula w pistolecie,
Z którego ci w łeb wypalę,
Jeżeli natychmiast z nami
Niepójdiesz, i przez odnogę,
Nieprzeprowadzisz brodami,
Za to ci zaręczyć mogę. —
— Co? — ja! — w koszuli i boso,

Czyście potracili głowy?
Prowadzić was tako rosą,
Gdy ja nagi do połowy.
— Machaj — albo oddaj ducha,
Bo dla twojego ubioru,
Z koniem nie wiadę do dworu.

On się patrzy — niby słucha,
Potem — prowadzi nas z przodu,
Przez łąki i wiklinami,
Aże do samego brodu,
A nic nie rozmawiał z nami.

— No! — tu pród — bywaj zdrów bracie!
— A niech was tam diabli skola! —
Pomaczałem koszule, — poszargałem gacie,
Nogi i głowa mię bolą.
— Iktóż ci winien mój Panie?
To niemoże być inaczej, —
— Ej co tam wasze bajanie,
Idźcie do kroćset kartaczy!...

Idziemy a wlewěj stronie,
Karczma jest wielka na piasku,
W każdym oknie ogień płonie,
Pełno chałasu i wrzasku,

Aby nie zrobić pomyłki,
— Jak się ta karczyna nazywa?
Pytamy chłopa: — «Siekierki»
Tu nas wielu odpoczywa,
Bo już ostatniego razu,
Powracamy od furazu.

Chwałaś Ci najświętszy Panie!
To już koniec naszej biedy,
Ledwośmy usli stajanie,
Aż ktoś woła: — Stój! kto idzie!
— Swój! — ja mu odpowiadam,
— Siadaj z konia — to ja z siadam —
— Dawaj chasło! —
— Bracie my chasła nie mamy,
Bo z daleka powracamy.
— A! bodajcie piekło trzasło,
Ja na to stoję Cymbale,
Abyś mi go dał odrazu,
Albo ci zaraz wleś pałę,
Bo ja się trzymam rozkazu.

Szczęściem dla nas, iż w tej chwili,
Na placówce blisko byli,
Bo jak my z siadali z koni,
Ktoś krzyknął: — «Warta do bronii»!
I w moment z karabinami,
Piechury stali przed nami,

A poznawszy w nas Polaków,
Wpuścili do swych barakew.....
Gdyśmy powiązali konie,
Padliśmy na nasze kolana,
I w zniosłszy do nieba dłonie,
Modliliśmy się do P a n a. —

A poznawasz w nas Polskę
 Wpuścił do swych baraków
 Gdyśmy powisnęli kornie
 Padliśmy na nasze kolana
 I wzniosłszy do nieba błonie
 Modlimy się do Pana —

300

15 vii 88 964796

